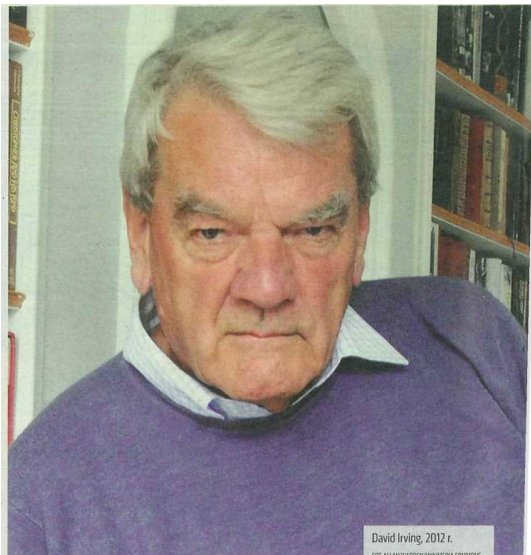


Jakub Ostromęcki, DoRzeczy, nr 24, 13-19.06.2022



Jedni wprost zaprzeczają Holokaustowi, inni twierdzą, że w rzeczywistości ofiar było dużo mniej i Żydzi wcale nie ginęli w komorach gazowych. Środowisko negacjonistów doczekało się nawet własnych „konferencji naukowych”

Najsłynniejszym z rewizjonistów Holokaustu jest David Irving. Brat słynnego historyka, Nicolas, twierdzi, że David od urodzenia był prowokatorem. Mając kilka lat, miał stawać pośród ruin zbombardowanych angielskich budynków i krzyczeć dla zabawy: „Heil Hitler!”, pouczając bliźniaka, że trzeba przy tym strzelać obcasami. Było to raptem kilka lat po tym, jak ojciec Irvingów, będący oficerem na krążowniku, przeżył atak U-Bootu na Morzu Barentsa.

Kilkadziesiąt lat później niewiele się zmieniło. Jeden z jego wydawców zaproszony na obiad do Irvinga wyszedł po kilku minutach, gdy podano mu zastawę ze swastykami. David Irving twierdzi, że jego zainteresowanie III Rzeszą wzięło się z niezgody na to, w jaki sposób brytyjska prasa codzienna przedstawiała wrogich przywódców.

Irving zaczął studiować ekonomię. Szło mu nieźle, ale był zbyt biedny, aby zapłacić za kolejne lata studiów. Chciał zaciągnąć się do RAF, ale nie przyjęto go ze względu na stan zdrowia, wyjechał więc do Niemiec do pracy w hucie. Tam nauczył się niemieckiego i tam usłyszał opowieści o bombardowaniu Drezna.

Na zarzuty, że brak mu formalnego historycznego wykształcenia, Irving odpowiadał, że Tacyt i Pliniusz Młodszy też go nie mieli. Nie były to czcze przechwałki aroganta. Pierwsze książki Irvinga z lat 60. zrobiły furorę i doczekały się bardzo pozytywnych opinii środowiska naukowego. Bestsellerem stał się już jego debiut, czyli „Destruction of Dresden” (polski tytuł to „Drezno. Apokalipsa 1945”), wydany w momencie, gdy w wielu europejskich krajach nikt jeszcze nie zadawał sobie pytania na temat sensu bombardowania miasta pozbawionego znaczenia strategicznego. Irving już wtedy miał zajadłych wrogów. Wkrótce po wydaniu książki do jego mieszkania włamał się niejaki Gerry Gable, londyński komunista i związkowiec żydowskiego pochodzenia, przebrany za technika z urzędu telekomunikacji.

Irving lubił kłaść własne gniazdo. W wydanej w 1967 r. książce „Wypadek. Śmierć generała Sikorskiego” oskarżył Churchilla o zlecenie zamordowania polskiego premiera. W tym samym roku oskarżył kmdr. Jacka Broome o doprowadzenie do niemal całkowitej zagłady jednego z dowodzonych przez siebie konwojów w czasie drugiej wojny światowej. Emerytowany komandor pozwał autora o zniesławienie i wygrał.

„Z PERSPEKTYWY HITLERA”

Największą (niejstawę przyniosła Irvingowi „Wojna Hitlera” wydana w 1977 r. Była to praca pisana „z perspektywy biurka Hitlera”. Jej najbardziej kontrowersyjne tezy brzmiały: Hitler był takim samym mężem stanu jak wielu jemu współczesnych, na pewno nie straszniejszym niż liderzy Zachodu. Zawiedli go jednak jego podkomendni. Fuhrer nie miał również bladego pojęcia o trwającej eksterminacji Żydów, za czym mieli stać Heinrich Himmler i Reinhard Heydrich. To wówczas właśnie Irving ogłosił słynną nagrodę wynoszącą 1 tys. funtów dla każdego, kto pokaże mu dokument, w którym Hitler rozkazuje wymordowanie Żydów.

Według Irvinga Żydzi w czasie Holocaustu mieli ginąć w wyniku chorób i niewolniczej pracy w obozach, nie zaś w wyniku egzekucji. W 1989 r. Irving nazwał ocalałych z Holocaustu „kłamcami, przypadkami klinicznymi i wyludzcami”. Potem stał się w swoich oszczerstwach wobec nich jeszcze bardziej prymitywny, zestawiając odpowiednio dobrane słowa tak, aby utworzyły akronim assholes (poi. dupki]. W 1995 r. zapytał jednego z ocalałych, ile zarobił na wytatuowanym numerze obozowym. Skąd ta nienawiść? Irving odpowiadał pytaniem na pytanie: „Zastanówmy się, dlaczego od trzech tysięcy lat Żydzi są znienawidzeni przez wszystkich sąsiadów, wśród których się pojawiają. Co oni takiego robią lub czego nie robią, że się ich nienawidzi”. Według Irvinga to sami Żydzi sprowokowali wojnę światową. Nazywał ich „tradycyjnymi wrogami prawdy”.

Negacjoniści zrazu nie ufali Inńngowi, w końcu nie zaprzeczał on całkowicie Holokaustowi. Owszem, bywał na ich konferencjach, ale dystansował się od najbardziej skrajnych tez tam wypowiadanych. W końcu jednak przekroczył ostatnią granicę. „W Auschwitz nie było komór gazowych. To, co widzimy dziś, to powojenna atrapa zbudowana przez Polaków” - stwierdził. Dodawał też, że sprawcami byli lokalni aparatczycy nazistowscy lub kryminaliści niekoniecznie niemieckiego pochodzenia. To główne tezy wystąpień Irvinga od początku lat 90. Owe rewelacje zbliżyły go w końcu do środowiska amerykańskich negacjonistów skupionych wokół organizacji o nazwie Institute of Historical Review. W 1995 r. Irving pokłócił się jednak z Robertem Faurissonem, jednym z koryfeuszy instytutu. Poszło o audycję radiową, w której Irving przyznał, że w czasie drugiej wojny światowej ok. 4 mln Żydów zostało zabitych. Faurison twierdził, jak na prawdziwego negacjonistę przystało, że w ogóle ich nie zabijano.

Konflikt ów nie miał znaczenia dla przeciwników Irvinga. Sale, w których prowadził wykłady, były regularnie blokowane i atakowane. „Na zewnątrz zebrało się całe szambo ludzkości. Homoseksualiści, Cyganie, lesbijki, Żydzi, kryminaliści i komuniści” - mawiał o protestujących.

KŁOPOTY PAPIEŻA REWIZJONIZMU

W 1991 r. Irving został oskarżony i skazany w Niemczech na 7 tys. marek grzywny. Apelował, ale sąd w 1992 r. zwiększył karę do 10 tys. marek. Irving nazwał wtedy sędziego „stetryczalym skretyniałym alkoholikiem” i więcej już do Niemiec wjechać nie mógł. W 1992 r. został zatrzymany w Kanadzie i deportowany do Wielkiej Brytanii. Podobne zakazy otrzymał w Austrii, Nowej Zelandii i Australii.

Był to czas, w którym wiele państw zaczęło wprowadzać ustawy penalizujące „kłamstwo oświęcimskie”. Karano zatem nie tylko za negację Holokaustu, lecz także za jego umniejszanie czy trywializowanie. Wypowiedzi Irvinga o komorach gazowych, podważające liczbę ofiar czy sprowadzające mord do chorób i głodu, niewątpliwie były taką trywializacją.

W 1996 r. Irving pozwał Deborah Lipstadt, która wcześniej nazwała go kłamcą oświęcimskim, fałszerzem i bigotem. Irving przegrał proces, co doprowadziło go do ruiny finansowej. W 2005 r. został aresztowany w Austrii pod zarzutem promowania „kłamstwa oświęcimskiego” i trywializacji Holokaustu. Bardzo się zdziwił, gdy usłyszał wyrok trzech lat więzienia. Wyszedł jednak po roku. Próbował potem organizować przemówienie podczas targów książki w Warszawie. Organizatorzy nie wydali wówczas na to zgody - mógł jedynie udzielić wywiadu. Zrujnowany finansowo, zaczął utrzymywać się z płatnych wykładów organizowanych potajemnie oraz sprzedaży pamiątek z okresu III Rzeszy, których autentyczność potwierdzał własnym certyfikatem. Jedno z takich spotkań zorganizował w 2010 r. w Warszawie w hotelu

Marriott. Jedno z zaproszeń zdobył izraelski dziennikarz przebywający akurat w Berlinie. Nie mógł jednak udać się na wykład, o którym dowiedział się, jak większość uczestników, dwie godziny przed jego rozpoczęciem. Zaproponował zatem udział w nim Piotrowi Zychowiczowi, wówczas dziennikarzowi „Rzeczpospolitej”, który zrelacjonował owo spotkanie.

Irving wyglądał wówczas dużo lepiej niż w pierwszych latach po austriackiej odsiadce. Lepsze też było jego samopoczucie. Był to już inny człowiek niż ten znany ze skrajnych wypowiedzi z lat 80. Mówił otwarcie, że w czasie akcji Reinhardt Niemcy wymordowali wiele milionów Żydów. Podtrzymywał tezę o tym, że Hitler nie wiedział o Holokauście, ale mimo to ponosi za niego odpowiedzialność. Z takimi poglądami Irving nie ma co liczyć na poparcie negacjonistów. Nie ma też szans na powrót do środowiska naukowego. O sobie samym mówił wówczas, że „jest biedny jak mysz kościelna”. I dalej: „Ja tak naprawdę jestem tradycyjnym brytyjskim liberałem. Uważam, że każdy powinien mówić i robić, co mu się żywnie podoba. Dopóki oczywiście nie wali współobywateli pięścią po nosie”. Irving twierdzi do dziś, że po nosie wciąż walą go Żydzi.

PRAWNICZKA. NEGACJONISTÓW



Najbarwniejszą postacią wśród niemieckich rewizjonistów jest Sylvia Stolz. W 2005 r. zasłynęła ona jako adwokat w procesie słynnego Ernsta Ziindela, niemiecko-kanadyjskiego negacjonisty, autora książki „Hitler, którego kochaliśmy”. Jej mowy obrończe, wnioski i protesty miały na celu nie tyle obronę jej klienta, ile wręcz całego narodowego socjalizmu. Miała ona w zwyczaju podpisywać oficjalne pisma zwrotem... „Heil Hitler”. Dwóm ławnikom zagroziła, że zostaną skazani na karę śmierci za „oszczerstwo i działania na rzecz wroga”, jeśli doprowadzą do skazania jej klienta. W czasie jednej z rozpraw sędzia, mając dosyć jej tyrad, w których wychwalała III Rzeszę, wyłączył jej mikrofon. Stolz nie dawała jednak za wygraną, próbując przekrzyczeć resztę uczestników rozprawy.

Broniąc swoich klientów, twierdziła, że Holokaust to wymysł Żydów oraz że prawodawstwo RFN jest nielegalne, gdyż zostało stworzone pod wpływem sił okupacyjnych, a Niemców powinno wciąż obowiązywać ustawodawstwo III Rzeszy. „Niemcy jako tacy nie mają skłonności do dręczenia innych” - mawiała w wywiadach. Pytana o Holokaust, prosiła o doprecyzowanie, o co dokładnie chodzi, czy przypadkiem nie o bombardowanie Drezna.

Niektórzy mogliby próbować wysłać Stolz do odpowiedniego zakładu leczniczego, jednak niemieckie sądy potraktowały ją bardzo poważnie. W 2009 r. została prawomocnie skazana na trzy lata i trzy miesiące więzienia za podżeganie do nienawiści. Dostała też zakaz wykonywania zawodu adwokata. Kara nie podziałała na nią trzeźwiąco, ponieważ w 2018 r. została skazana na półtora roku więzienia za swoje negacjonistyczne tyrady, którymi raczyła słuchaczy w czasie mityngu w Szwajcarii.

GIGANTYCZNA KARA

Najbardziej znanym europejskim politykiem ukaranym za „kłamstwo oświęcimskie” jest oczywiście długoletni lider francuskiego Frontu Narodowego Jean Marie Le Pen, wielokrotny kandydat na prezydenta, który w 2002 r. mógł odebrać zwycięstwo samemu Jacques'owi Chiracowi. Za podżeganie do nienawiści przed francuskimi sądami stawał kilka razy, ale najśłynniejsza sprawa dotyczyła jego wypowiedzi z czasów, gdy pod koniec lat 80. po raz pierwszy dostał się do Zgromadzenia Narodowego. Rzekł wówczas: „Nie powiedziałem, że komory gazowe nie istniały. Nie widziałem ich na własne oczy. Nie zajmowała mnie zbytnio ta kwestia. Sadzę jednak, że był to nieistotny epizod w historii drugiej wojny światowej”. Co do samej liczby pomordowanych mówił tak: „Nie sądzę, aby było ich tak wielu. Nie było to 6 mln”. Nie była to oczywiście negacja Holokaustu wprost, ale francuskie prawo, podobnie jak kodeksy innych państw europejskich, karze również za jego trywializację. Grzywna, którą Le Pen musiał zapłacić, wynosiła aż 183 tys. euro.

W latach 90. Le Pen brnął dalej: „Jeśli weźmiesz tysiącstronicową książkę na temat historii drugiej wojny światowej, to na obozy koncentracyjne poświęcone są tam dwie strony, a na same komory 10 lub 15 wierszy. To właśnie nazywa się detalem”. Tym razem grzywnę wymierzył mu niemiecki sąd. Le Pen kpił po wyroku: „Teraz wiem, że historia drugiej wojny światowej jest detalem w historii komór gazowych”. Jest to polityk uparty, ponieważ niemal to samo powtórzył w 2015 r. w wywiadzie dla tygodnika „Rivarol”. Le Pen przez całe życie konsekwentnie bronił też rządu Vichy i marszałka Philippe’a Petaine'a.

IZRAEL KONTRA KŁAMCY

Według badań przeprowadzonych w 2008 r. przez profesora socjologii Samm/ego Smooha z Uniwersytetu w Hajfie odsetek izraelskich Arabów twierdzących, że „Zagłada, w której Niemcy wymordowali 6 mln Żydów, nie miała miejsca”, wzrosła z 28 proc. w 2006 r. do 40,5 proc. w 2008 r. Poglądy te reprezentowało m.in. 37 proc. izraelskich Arabów z wykształceniem średnim i wyższym. Przykładem takiej postawy są wypowiedzi Ekrima Said Sabriego, wielkiego muftiego Jerozolimy w latach 1994-2006. W wywiadzie udzielonym włoskiej gazecie „La Repubblica” stwierdził on, że w rzeczywistości w czasie drugiej wojny światowej zginęło dużo mniej Żydów,

niż podaje się to oficjalnie. Utrzymywał też, że nienawiść Hitlera do Żydów nie była niczym niezwykłym, bo byli oni nienawidzeni po równo wszędzie. Dokonał też dziwaczego porównania: „Krucjaty trwały dwieście lat, a nie pięć, jak druga wojna światowa. Zginęło wtedy dużo więcej muzułmanów niż Żydów z rąk nazistów. Nikt nie mówi jednak o zadośćuczynieniu dla nas”.

Zarzuty karne w związku z izraelską ustawą penalizującą „kłamstwo oświęcimskie” czy też trywializację zbrodni może postawić tylko izraelski prokurator generalny. Jest on osobą z nadania politycznego i jest uzależniony od premiera. Oskarżanie o „kłamstwo oświęcimskie” nie może być zatem sprzeczne z pryncypiami izraelskiej polityki wobec Palestyńczyków. Mufti był aresztowany bądź zatrzymywany przez izraelskie służby wiele razy, m.in. pod zarzutem wtargnięcia do miejsc kultu zamkniętych przez władze, podlegania do nienawiści czy kontaktów z przywódcami organizacji terrorystycznych, takich jak Hezbollah. Nigdy jednak w zarzutach nie odnoszono się do negacji Holocaustu przez duchownego. Z perspektywy izraelskiej znacznie groźniejsze były jego czyny i kontakty z Hezbollahem.



Władzom izraelskim zależy na pacyfikacji radykalnych palestyńskich liderów. W tym przypadku dodatkowe wysuwanie zarzutów o negacjonizm niepotrzebnie zaogniłoby sytuację. Innymi słowy, tak długo, jak Palestyńczycy powstrzymują się od czynów, które Izrael uznaje za godzące bezpośrednio w jego bezpieczeństwo, pewne słowa puszcza się im płazem, na zasadzie wentylu bezpieczeństwa. Potwierdzeniem są tu konkluzje prof. Smooha, który przeprowadzał badania przytoczone na początku artykułu:

„Niewiara w Shoah nie jest motywowana nienawiścią do Żydów (zakorzenioną wśród negacjonistów zachodnich), ale raczej formą protestu. Arabowie niewierzący w Shoah wyrażają silny sprzeciw wobec portretowania Żydów jako wyjątkowych ofiar i braku postrzegania cierpienia Palestyńczyków. Odmawiają prawa do istnienia Izraela jako państwa, którego główną siłą sprawczą był Shoah. Arabski brak wiary w istnienie Shoah jest częścią konfliktu izraelsko-palestyńskiego, w przeciwieństwie do ideologicznego i antysemickiego negacjonizmu na Zachodzie, motywowanego pragnieniem zmycia z siebie winy”.

KONFERENCJA NEGACJONISTÓW

Iran od czasów ajatollaha Ruhollaha Chomejniego uważa się za obrońcę Palestyńczyków i jest zaprzysiężonym wrogiem Izraela. Prezydentem tego kraju w latach 2005-2013 był Mahmud Ahmadineżad. Na początku kadencji nazwał Holokaust mitem i - co typowe dla irańskich liderów - wezwał do wymazania Izraela z mapy świata. W 2006 r. Ahmadineżad zorganizował w Iranie „Konferencję na rzecz zmiany globalnego odbioru Holokaustu”. Oprócz międzynarodowej śmietanki negacjonistów zaproszono też kilku działaczy Ku-Klux-Klanu ze znienawidzonej w Iranie Ameryki oraz grupę... ortodoksyjnych i antysyjonistycznych Żydów z organizacji Netu- rei Karta. Co ciekawe, na konferencję nie dotarł palestyński prawnik Chalid Kasab Mahameed. Oficjalnie powodem niewpuszczenia go było posiadanie izraelskiego obywatelstwa. W Izraelu mówiono jednak, że Mahameed zamierzał nieco złagodzić negacjonistyczną wymowę konferencji, co nie podobało się Ahmadineżadowi. Palestyńczyk znany był faktycznie z tego, że nigdy nie kwestionował samego faktu oraz skali Holokaustu. Ostatecznie konferencja nie doprowadziła do wypracowania żadnych rewolucyjnych konkluzji poza zwyczajowym już kwestionowaniem istnienia komór gazowych, zabójczego działania silników spalinowych i ludobójstwa popełnionego w Treblince, gdzie według jednego z prelegentów miało z powodu chorób umrzeć „zaledwie” 10 tys. ludzi...

Musk kontra Gates: spór o przyszłość Zachodu

Jakub Wozinski, DoRzeczy, nr 23, 6-12.06.2022



KTO BOGATEMU ZABRONI

Zapewniając ludziom dostęp do najnowocześniejszych technologii, Elon Musk nie działa oczywiście charytatywnie. Obliczono, że w ciągu ostatnich 20 lat powiększył swój majątek aż 1557-krotnie, zwiększając go średnio w tempie 42 proc, rocznie. Dysponując majątkiem szacowanym na 265 mld dol., amerykański przedsiębiorca uznał niedawno, że warto wykorzystać go do realizacji kolejnego prometejskiego czynu w postaci odzyskania dla ludzi wolności słowa w Internecie. Najpierw Musk zamieścił na swoim koncie na Twitterze ankietę, pytając użytkowników, czy ich zdaniem popularny serwis respektuje zasady swobody wypowiedzi, zastrzegając, że wynik ankiety będzie miał wpływ na coś bardzo ważnego.

Wynik był jednoznaczny i potwierdzał, że w powszechnym odbiorze portal z niebieskim ptakiem w logo kojarzy się z cenzurą. Niedługo potem Musk ogłosił, że za 44 mld dol. zamierza kupić pakiet kontrolny Twittera.

Decyzja ta wywołała w środowiskach lewicowych prawdziwy szok, a wielu celebrytów ogłosiło, że rozważa bojkot serwisu. Jedno z anonimowych badań wykazało nawet, że 27 proc, pracowników Twittera wprost nienawidzi swojego przyszłego pracodawcy. Najbardziej zawiedziony głośnym przejęciem okazał się jednak nie kto inny, jak Bill Gates, który rozpętał przeciwko Muskowi wojnę na kilku poziomach jednocześnie. Być może Gates nie może wciąż pogodzić się z faktem, że półtora roku temu Musk zepchnął go na trzecią pozycję w rankingu najbogatszych Amerykanów oraz że to właśnie Musk odebrał mu status największego geniusza nowych technologii. Z pewnością jednak główną rolę w okazywanej sobie przez nich od niedawna wrogości odgrywają różnice światopoglądowe i wizja tego, jak ma wyglądać przyszłość ludzkości,

ABSOLUTYSTA WOLNOŚCI SŁOWA

Elon Musk określa siebie mianem „absolutysty wolności słowa” i właśnie ta jego cecha tak bardzo razi personel Twittera, Gatesa i całą światową lewicę. Ów absolutyzm sprowadza się

zwyczajnie do tego, że zdaniem właściciela Tesli stosowane przez popularny serwis algorytmy i zasady moderacji są krzywdzące dla swobodnej dyskusji. Dopytywany w czasie niedawnej konferencji TEDx, jak będzie sobie radził z tzw. mową nienawiści, Musk stwierdził, że Twitter powinien zachować ostrożność przy blokowaniu treści „Jeśli pojawią się wątpliwości, to niech zostanie zachowana swoboda wypowiedzi” - podsumował.

Musk od samego początku zastrzegał, że nie kupuje Twittera po to, aby zarabiać pieniądze. Przejęcie kontroli nad serwisem traktuje wyłącznie jako swego rodzaju misję i wskazuje, że głównym przedmiotem jego uwagi pozostają wciąż Tesla i inne projekty (w jednym z tweetów napisał, że zakup Twittera pochłania mniej niż 5 proc. jego czasu). „Mam w sobie silne, intuicyjne poczucie, że posiadanie publicznej platformy cieszącej się maksymalnym zaufaniem i będącej bardzo inkluzywną jest niesłychanie ważne dla przyszłości cywilizacji” - powiedział we wspomnianym już wywiadzie. Słowa te stanowią z pewnością element biznesowego marketingu multimiliardera, gdyż częścią jego pomysłu na Twittera jest wprowadzenie płatności za użytkowanie. Jednakże nawet jeśli popularny serwis stanie się płatny, to i tak można zakładać, że nie odnotuje odpływu użytkowników, gdyż dzięki nowemu właścicielowi może się stać oazą swobodnej wymiany poglądów w głównym nurcie. Twitter ma szansę stać się pierwszym portalem społecznościowym tej wielkości, który nie stara się występować w roli lewicowego politruka.

Możliwość pojawienia się tak sporej wyrwy w moderowanej przez lewicę przestrzeni wirtualnej od samego początku postawiła na nogi Billa Gatesa, który wedle raportu opublikowanego przez serwis Breitbart News miał aktywnie wspierać środowiska mające możliwości doprowadzenia Twittera do bankructwa. Tuż po ogłoszeniu przez Muska zamiaru przejęcia firmy opublikowany został list otwarty organizacji pozarządowych, które ostrzegały, że krok ten doprowadzi do „dalszego zatrucia naszego ekosystemu informacyjnego” i będzie stanowić „bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego”. Sygnatariusze wezwali wszystkich reklamodawców do bojkotu Twittera i tym samym zniszczenia biznesowych podstaw jego funkcjonowania, jeśli Musk wprowadzi na nim swobodę wypowiedzi. Zdaniem dziennikarzy Breitbart News aż 11 z 26 organizacji, które podpisały się pod listem, otrzymywało środki z Fundacji Billa i Melindy Gatesów. W niektórych przypadkach wsparcie Gatesów stanowiło wręcz główne źródło utrzymania, dlatego można zasadnie stwierdzić, że wspomniany list otwarty wyrażał tak naprawdę poglądy samego Gatesa.

GRA NA SPADEK

O tym, jak bardzo Gates nienawidzi swojego przeciwnika, świadczą kwestie finansowe. Niedawno Musk ujawnił, że Bill Gates postawił aż pół mld dolarów na spadek notowań Tesli i skonfrontował go z tym faktem publicznie. Założyciel Microsoftu potwierdził, przyznając się tym samym pośrednio do ogromnej straty, gdyż - jak policzył sam Musk - zamknięcie pozycji przy

obecnym kursie akcji kosztowałoby założyciela Microsoftu nawet do 2 mld dol. Co ciekawe, tzw. shortowanie Tesli, czyli gra na spadek kursu, stało się w ostatnim czasie modnym sposobem na manifestowanie swojej dezaprobaty wobec poglądów wyrażanych przez Muska, a jedną z osób przyznających się do tego jest były prezes FED Alan Greenspan. Na razie jednak na złość wszystkim kurs Tesli nie chce spaść, nawet pomimo fatalnych dla niej wysokich cen litu, niklu czy kobaltu, przy których elektryczne auta mogą niedługo stać się towarami luksusowymi.

Niedawno Elon Musk zamieścił na swoim profilu zdjęcie Billa Gatesa z wydatnym brzuchem tuż obok słynnego emotikonu przedstawiające mężczyznę w ciąży. To i inne szyderstwa pod adresem założyciela Microsoftu mogłyby tworzyć złudne wrażenie, że to Musk jest stroną agresywną i zaczepną. Jeśli jednak uwzględnimy wolę zniszczenia Twittera przez odebranie mu zysku z reklam czy też stawianie potężnych sum na spadek kursu Tesli, to realną szkodę swojemu przeciwnikowi chce wyrządzić właśnie Gates. Nie wiadomo, czy szefowi Tesli uda się odeprzeć wszystkie ataki, lecz na razie wydaje się mieć na pewno przewagę nad swoim adwersarzem w utarczkach słownych, o czym świadczy choćby ujawniony w mediach zapis wymienionych między nimi wiadomości tekstowych. Zaczepiony o grę na spadek firmy Muska Gates odpowiedział lekceważąco, że mógłby co najwyżej porozmawiać o kwestiach filantropijnych. Wówczas Musk zripostował, że nie traktuje poważnie jego deklaracji, gdyż Tesla to firma, która w kwestii walki z globalnym ociepleniem zrobiła najwięcej ze wszystkich, i nie rozumie, jak można grać na spadek jej kursu.

Profil działalności Muska sprawia, że skrajnie lewicowy establishment miał do tej pory stosunkowo niewiele okazji do tego, aby się do niego przyczepić. Musk kupił kilka lat temu producenta paneli

fotowoltaicznych Solar City, a produkowane dla niego auta to najbardziej popularne pojazdy elektryczne na świecie. Projekty miliardera silnie współgrają z agendą ekologizmu i zrównoważonego rozwoju, a mimo to głoszone przez niego poglądy wykazują coraz dalej idącą rozbieżność w porównaniu z narastającym radykalizmem całej klasy właścicieli wielkich korporacji.

CENTRYSTA ZANIEPOKOJONY RADYKALIZMEM

Elona Muska trudno zaliczyć do grona osób o ściśle prawicowych czy konserwatywnych poglądach. On sam twierdzi, że jest politycznie neutralny, a prawdziwym problemem jest coraz bardziej skrajny światopogląd forsowany przez środowiska lewicowe. Uwielbiający memy miliardera zamieścił niedawno na swoim profilu grafikę ukazującą, że osoby o poglądach centrowych i konserwatywne światopoglądowo mają zawsze mniej więcej ten sam zestaw

przekonań, lecz w ostatnich latach to właśnie lewica oddaliła się na tak ekstremistyczne pozycje. Musk wyśmiewa więc ratingi ESG, które nazywa wprost barometrem skrajnej lewicowości, a jakiś czas temu wywołał prawdziwą burzę, określając transgenderowe zaimki niecenzuralnym Określeniem [za co skrytykowała go ostro nawet ówczesna życiowa partnerka], „Miesiąc dumy” przywitał zaś prześmiewczym memem ukazującym ruch LGBT jako niszczycielskie tornado. Ogromne słowa krytyki spadły na niego również w czasie pandemii, gdy nieustannie kwestionował mainstreamową narrację opartą na sianiu strachu.

O tym, że coraz bardziej prawoskrętny kurs Muska to bardziej efekt niespotykanej dotąd radykalizacji lewej strony sceny politycznej, świadczy najlepiej to, że jeszcze niedawno szef Tesli popierał otwarcie Barracka Obamę. Lewica w czasach Obamy była jednak pod wieloma względami dość umiarkowana w porównaniu z czasami obecnymi. Neomarksistowska rewolucja przyspieszyła w ostatnich latach tak bardzo, że Musk wyraźnie odmawia ugięcia się przed jej postulatami. Świadczy o tym chociażby to, że po wielu latach przeniósł się z demokratycznej Kalifornii do republikańskiego Teksasu. Nową siedzibę w stanie Teksas wybrał także dla Tesli, a ostatnio pojawiły się pogłoski, że do najbardziej dynamicznie rozwijającego się stanu mógłby się przenieść Twitter.

Jedna z podstawowych różnic dzielących Billa Gatesa i Elona Muska dotyczy kwestii populacyjnych. Podczas gdy założyciel Microsoftu od wielu lat sponsorował programy ograniczające wzrost liczby ludności na świecie, prezes Tesli od dłuższego czasu bije na alarm, że za 20 lat największym problemem całego globu będzie niedobór ludności. Musk głosi przekonania, które idą całkowicie pod prąd głównego nurtu, krytykując fakt, że większość ludzi, których zna, posiada jedno dziecko lub nie ma ich wcale. On sam jest ojcem aż ośmiorga, choć z trzech różnych związków [w tym jedno z dzieci zostało urodzone przez matkę surogatkę]. Zdaniem Muska media głównego nurtu przekazują oczywiste kłamstwa na temat przeludnienia, a brak wystarczającej liczby osób do pracy może stanowić poważną barierę rozwojową dla całej ludzkości. Perspektywy Gatesa, który był uwikłany w kontakty z pedofilem Jeffreyem Epsteinem, są zupełnie inne. Jego fundacja wspiera finansowo m.in. prace nad opracowaniem nowych, tańszych środków antykoncepcyjnych, a ostatnio wyrażała ubolewanie nad tym, że pandemia, ograniczając dostęp do antykoncepcji w biednych krajach, doprowadziła do ok. 1,4 mln niezamierzonych ciąż. Całkowicie odmienne podejście do kwestii populacyjnych obu biznesmenów to coś więcej niż zwykła rozbieżność w poglądach. W pronatalistycznej postawie Muska odbija się właściwy mu optymizm i przekonanie, że ludzkość może żyć szczęśliwie oraz cieszyć się wolnością; antynatalizm Gatesa przekłada się zaś nieustannie na to, że snuje kolejne wizje nadchodzącej katastrofy, przed którą ludzkość może się uchronić, jedynie poddając się mechanizmom odgórnej kontroli.

DWAJ WIZJONERZY

Jeżeli obu multimiliarderów cokolwiek łączy, to z pewnością zamiłowanie do tworzenia nieustannych wizji dla całej ludzkości. Ich wizjonerstwo różni się jednak diametralnie, ponieważ o ile Gates marzy o zniewoleniu całego świata za pomocą skoordynowanego globalnie systemu wprowadzania lockdownów, obowiązkowych szczepień, cenzury Internetu i powszechnej inwigilacji, o tyle Musk chciałby rozwijać nowe technologie na użytek milionów konsumentów, a w nagrodę za wysokiej jakości produkt świetnie na tym zarabiać. Społeczeństwo przyszłości Muska jest z pewnością odległe od ideałów prawicowo-konserwatywnych, lecz w zestawieniu z dystopijną wizją Gatesa, w której pod pozorem walki z globalnym ociepleniem i pandemią postuluje się wprowadzenie cyfrowego totalitaryzmu, przedstawia się ono wręcz jako kraina szczęśliwości.

Źródeł tak wielkich różnic w wizjach tworzonych przez obu miliarderów można się do pewnego stopnia doszukiwać w sposobie, w jaki zgromadzili tak wielką fortunę. Bill Gates od samego początku nie stronił od zagrań poniżej pasa, a jego model biznesowy polegał głównie na zapewnieniu sobie za pomocą podstępu oraz zapisów prawnych odpowiednich przywilejów i wyłączności dla dystrybucji jego flagowego systemu operacyjnego. W odróżnieniu od niego • Elon Musk to biznesmen wizjoner, który, mimo że wiele zawdzięcza bogatym rodzicom, stawiał zawsze na dostarczanie ludziom jak najbardziej doskonałych i nowoczesnych produktów. Windows był od zawsze smutną koniecznością dla niemal wszystkich użytkowników komputerów; pojazdy Tesli to przedmiot aspiracji i symbol prestiżu.

W sporze multimiliarderów Elon Musk reprezentuje sobą amerykański mit o wolności i możliwości wejścia na sam szczyt dzięki własnej pomysłowości i ciężkiej pracy. Ten mit i związany z nim etos korporacyjna elita amerykańska chce w ostatnich latach zniszczyć za pomocą transgenderowej rewolucji, ratingów ESG, cenzury mediów i polityki inkluzywności. Elon Musk ma w rzeczywistości przeciwko sobie nie tylko Billa Gatesa, lecz także całą klasę miliarderów.

BIZNESMEN, KTÓREGO NIE DA SIĘ ANULOWAĆ

Na pozór starcie to wydaje się dla Muska z góry przegrane, gdyż możliwy bojkot reklamodawców może momentalnie doprowadzić nawet do upadku całego Twittera. Szef Tesli jest jednak amerykańskiemu establishmentowi niezwykle potrzebny, gdyż jego osiągnięcia mają ogromne znaczenie w kontekście technologicznej rywalizacji z Chinami. Elon Musk to prawdziwy geniusz, a jego kolejne pomysły mają istotny wkład w rozwój całej gospodarki. Koledzy miliarderzy muszą go więc tolerować choćby dlatego, że od jego inwencji zależy także ich własna przyszłość. Mark Zuckerberg umiał znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie, Jeff Bezos stworzyć wielką maszynę sprzedaży - ale to Elon Musk ma rzeczywiście największy talent, którego zazdroszczą mu inni.

Pewną namiastkę świata, z jakim Musk zetknął się w ostatnim czasie w biurach Twittera, dają ujawnione przez Project Veritas nagrane potajemnie rozmowy z pracownikami firmy. Jeden z nich stwierdza otwarcie, że Twitter cenzuruje prawicę, i przyznaje, że pracownicy są „koniuszkami”. Drugi zaś przekonuje, że on i jego koledzy „wierzą w coś, co jest dobre dla planety, a nie w to, żeby dawać ludziom wolność wypowiedzi”. W jego wypowiedzi znalazła się też złośliwa uwaga wobec Muska i jego zespołu Aspergera.

W opublikowanych rozmowach znalazła się także sugestia, że Twitter nie wykazuje obecnie zysków właśnie dlatego, że wyżej stawia sobie ideologiczną misję anulowania i cenzurowania prawicowego światopoglądu. Trudno stwierdzić, czy to prawda, lecz czyszcząc lewicową stajnię Augiasza, Elon Musk ma szansę nie tylko odzyskać dla ludzi część wolności słowa, lecz także przy okazji świetnie na tym zarobić. Kto wie, czy ewentualny komercyjny sukces tego głośnego przejścia nie zachęci kiedyś Muska do kolejnych kontrowersyjnych z punktu widzenia lewicy zakupów w dziale „media społecznościowe”? Gdyby tak się miało kiedyś stać, przeciwko szefowi Tesli wytoczono by z pewnością większe działa. Najpierw czeka go jednak trudna batalia o przejście sterów nad Twitterem, która jest w istocie jedną z ważniejszych batalii naszych czasów.

Opracował: Aron Kohn - Hajfa, Izrael